

GRAJĄ NA WESOŁO, A ROBI SIĘ MARKOTNIE

MARIA BRZOSTOWIECKA

Karnawałowo-świąteczny repertuar teatru TV był niby obszerny i w nastroju, a wszystko razem przypominało pospieszoną lataninę lub coś w rodzaju okazjonalnej wyprzedazy zaległości.

„Kordian” zapowiadany i oczekiwany w 150 rocznicę Powstania Listopadowego, podobnie zresztą jak niezwykle interesujący i dokumentalnie rzetelny program Lucyny Smolińskiej i Mieczysława Sroki poświęcony tej rocznicy narodowej – obydwu z niepojętych przyczyn z listopadowego repertuaru wyparte – dość przemyślnie zostały zapoznane wskutek mało dla obydwu widowisk korzystnego momentu emisji. (Program Smolińskiej i Sroki – w połowie grudnia, „Kordian” – w poświęcony poniedziałek, kiedy zmęczeni przydługim świętowaniem dość mieliśmy siedzenia przy telewizorach).

Poza tym był „Strach na wróble” Włodzimierza Perzyńskiego (22 XII), „Romans z wodewilu” Władysława Krzemińskiego (26 XII), tryptyk sceniczny Jerzego Żuławskiego „Gra” (31 XII) i „Król w kraju rozkoszy” Franciszka Zabłockiego (5 I), a więc nieźle, ale bez specjalnej troski o świeżość, odświeżenie, o artystyczną niespodziankę, jaka należałaby

rozkoszy” Franciszka Zabłockiego (5 I), a więc nieźle, ale bez specjalnej troski o świeżość, odświeżenie, o artystyczną niespodziankę, jaka należałaby się nam przynajmniej raz do roku. Najwyraźniej redakcja teatru oglądała się na redakcję teatru faktu i sensacji. Notabene, zgodnie z logiką, której zasady pojmuje chyba tylko kierownictwo TV, obydwie funkcjonują oddzielnie, niezależnie, niekompetentnie et cetera i niestety żadna nie oślniła swoją świąteczną ofertą. Choć sprawiedliwie trzeba przyznać, że ta druga wydaje się być prowadzona o wiele sensowniej, jest żywsza i bardziej ambitna, o czym świadczą jej repertuarowe poszukiwania. A że poziom realizacji tu nieraz zawodzi, niemiłosiernie się dziwić, znając osobliwy status tej redakcji i trudności organizacyjne, z jakimi się boryka.

„Król w kraju rozkoszy”

Wracając do świetnej niegdyś wizytówki naszej TV czyli teatru poniedziałkowego, odnosi się wrażenie, że wizytówka mocno się zużyła, wytarła, straciła linię, elegancję i kolor. Należałoby zatem poddać ją renowacji, co wcale nie jest zabiegiem prostym. Najważniejsze wydaje się, by teatr TV nie nudził – aktorów, bo posną przy robocie, ani nas widzów, bo będziemy wylaczać, co da wprawdzie pewną oszczędność prądu, ale pogrążeni w ciszy naszych mieszkań psioczylibyśmy jeszcze bardziej na brak tego i owego. I na brak jakichkolwiek znamion odnowy w teatrze telewizji przede wszystkim. Na zupełny marazm skarżyć się nie możemy, póki nie zniszczą się do szczętu taśmy z nagraniami spektakli Adama Hanuszkiewicza sprzed lat nastu.

Hanuszkiewicz raz jeszcze nie zawiódł, choć obdarzył nas pamiętnym z kilku poprzednich Sylwestrów „Noworocznym telepatrzydłem Pana Prusa”. Spektakl Studia 63, z 1969 roku, nadany w programie drugim (30 XII) był jedynym śladem inwencji, jaka stanowiła główny atut twórczości telewizyjnej dopóki jej ambicją był dialog z widzami. Dziś teatr małego ekranu prawie w ogóle nie kontaktuje ze sferą spraw autentycznie zajmujących ludzi. Miło było wprawdzie obejrzeć „Stracha na wróble”, o ileż

więcej frajdy sprawiłoby nam np. „telepatrzydło Pana Perzyńskiego” zmontowane z jego felietonów politycznych. Tylko komu chciałoby się szukać unikalnych wydań i starych gazet, szperać, adaptować i ryzykować (choć ryzyko tu żadne bo satyry Perzyńskiego acz sprzed pół wieku brzmią nadzwyczaj rześko). Ale nie ma głupich, zwłaszcza gdy bój o dyrektorskie stolki przybiera formy, co do których najstarsi ludzie zapewnają, że takich jeszcze nie widzieli. Cóż pozostaje? „Strach na wróble” raz! „Romans z wodewilu” dwa! Na trzy będzie komedia Stefana Krzywoszewskiego, chwilowo tylko wycofana ze świątecznego programu. Komu się taka zabawa nie podoba, choćby dlatego, że staje się cokol-

wiek nudna, może liczyć na Teatr Wspomnień, którego gospodarzem na antenie jest wielce jego pamiętkom życzliwy krytyk Jan Kłossowicz. Może to zresztą zasługa jego i ludzi, których do rozmów zaprasza, że tym programem, archiwalnym przecież, można się wzruszyć. W przypadku „Noworocznego telepatrzydła Pana Prusa” nie zestarzał się pomysł odświeżający przez ton nowy, kameralny i prywatny, stare szkolarskie nawyki obcowania z pisarzem. No i Jerzy Wasowski jako Pan Prus to przecież była rola cacko i fenomen, toteż z najprawdziwszą przyjemnością wita się noworoczne powroty Pana Prusa w tym wcieleniu i za każdym razem z jednakowym zaciekawieniem słucha jego moralów, refleksji i żartów. Nikogo dziś nie drażni nawet autoreklama, jaką zafundował sobie w tym widowisku reżyser „Pana Wokulskiego”. Przeciwnie, wydaje się wspaniałym przypomnieniem, że adaptacja „Lalki” prezentowana na scenie Teatru Powszechnego, nieprzychylnie w swoim czasie potraktowana przez krytykę teatralną, nie była jednak dziełem adaptatora bezmyślnego.

Szkoda doprawdy, że energia „bomby atomowej teatru polskiej telewizji” – jak w swoich wspomnieniach nazwał Hanuszkiewicza Józef Słowicki, zo-

stała jakby celowo ujęta w formę archiwalną, przypisaną do pewnego zamkniętego okresu. Tylko nie wiadomo właściwie czy o mumifikacji za życia swojej sylwetki twórcy telewizyjnego, Hanuszkiewicza zdecydował sam czy też dokonali tego jego następcy na stanowisku szefów teatru TV? W każdym razie telewizja powinna dać mu jeszcze szansę i to podwójną – sprawdzenia siebie w warunkach nowych technik i spróbowania roli mecenasa wobec młodych. Wychowała przecież spore grono własnych reżyserów, którzy poza nielicznymi wyjątkami, uprawiają albo ćwiczenia z gramatyki kamerowej, albo tkwią w odstawce jako trzeci – po filmowych i teatralnych – garnitur reżyserski. Autorytet znanego twórcy mógłby grupę tę zespolic i natchnąć do poszukiwań czegoś, co znowu zafrapowałoby dorosłych, a może i te nieszczęsne roczniki młodych widzów, którzy wspominając czule „Bolka i Lolka” nie znajdują dla siebie żadnej innej oferty programowej jak tylko western i kryminał.

Taka edukacja kulturowa telewizji jest nie tylko sama w sobie jałowa. Również szkodzi szkole całkowicie osamotnionej w pełnieniu jej obowiązków. Co gorsza, szkoła realizując je musi dziś pokonywać przeszkody dodatkowe, zaszczerpać podstawowe wartości kultury w umysłach już ukształtowanych przez sprymitywizowane wzory XX-wiecznych sztuk populistycznych. Rodzaj bodźców wytwarza określoną mechanikę reakcji. W rezultacie psychiczna głuchota na wszystkie inne wpływy staje się faktem. Szkoła jest więc w sytuacji o wiele trudniejszej niż wtedy, gdy miała do czynienia z umysłami „zielonymi”. Tym bardziej teatr TV powinien mieć ambicję istnienia jako faktyczna alternatywa filmu w telewizji, czym obecnie absolutnie nie jest. Nie jest zdolny wpływać świadomie na życie umysłowe społeczeństwa, jak mały prowincjonalny teatr dba, aby wszystkiego było po trochu, ale czemu to wszystko służy, jakie otwiera horyzonty – takich pytań woli sobie nie stawiać. Dlatego pilna wydaje się potrzeba przekazania steru w programowaniu, zwłaszcza tzw. sceny klasycznej, w ręce wybitnych nauczycieli kultury, którzy rozumiejąc charakter związków między idea, filozofią, światopoglądem autorów klasycznych a współczesnością, szukaliby urzeczywistnienia ich w płaszczyźnie szerszej, właśnie poprzez „scenę milionów”. Przed laty udawało się to dobrze znanym przerzwanemu pokoleniu widzów szefom i konsultantom teatru TV Stefanowi Treuguttowi i Stanisławowi Marczakowi-Oborskiemu.

Na tych kilka przypomnień i refleksji pozwoliłam sobie w nadziei, że nie dotkną one żadnego z reżyserów wspomnianych na wstępie przedstawień, których nie próbowałam przecież oceniać. Interesowały mnie tylko jako cząstkowy przykład pewnej szerszej a niepokojącej sytuacji w teatrze TV.

ekran 5

EKRAN w 4

25.01.81 v.